

# W MURACH ERYKSU



Zanim spróbuję choć chwilę odpocząć, sporządzę te notatki jako podstawę raportu, który muszę spisać. To, co odkryłem, jest tak niezwykle i tak sprzeczne z wszelkimi dotychczasowymi doświadczeniami i oczekiwaniami, że zasługuje na wyjątkowo skrupulatny opis.

Wylądowałem na Wenus 18 marca czasu ziemskiego, 9 VI według kalendarza planetarnego. Zamustrowany do oddziału dowodzonego przez Millera, otrzymałem mój sprzęt, zegarek przystosowany do nieco szybszych, wenusjańskich obrotów i zostałem przeszkolony do używania maski. Po dwóch dniach byłem gotowy objąć służbę.

Opuszczając posterunek Kompanii „Kryształ” na Terra Novie, 12 VI ruszyłem na południe kursem nakreślonym przez Andersona po sporządzeniu z powietrza map tego terenu. Szło mi się z trudem, gdyż po deszczu tutejsze dżungle są prawie nie do przebycia. To chyba wilgoć nadaje tym poskręcany mączkom i lianom twardość niewyprawionej skóry; twardości tak ogromnej, że by usunąć niektóre z zagradzających mi drogę roślin, musiałem ciąć je nożem dobre dziesięć minut. W południe były już suche, roślinność stała się miękka i gąbczasta, tak że ostrze przerynało je bez trudu, ale nawet wówczas nie byłem w stanie posuwać się naprzód szybciej. Te maski tlenowe Cartera ciężkie, jedna taka wystarczy, by kompletnie pozbawić człowieka sił. Maski Duboisa z gąbkowym filtrem zamiast przewodu tlenowego waży o połowę mniej, a powietrze tyle samo.

Detektor kryształów zdawał się funkcjonować doskonale, wskazując w kierunku podanym w raporcie Andersena. To zdumiewające, jak działa ta zasada pokrewieństwa w przeciwieństwie do naszej planety, tu można obejść się bez używania „róźdzek radiestezyjnych”. W obrębie tysiąca mil muszą znajdować się wielkie pokłady kryształów, choć podejrzewam, że te przekłete jaszczuroludy zawsze ich strzegą i bacznie obserwują.

Może sądzą, że jesteśmy głupcami, przybywając na Wenus po minerały, podobnie jak my myślimy o nich, padających na kolana przed każdym najmniejszym nawet okruczem lub układających z nich całe stosy na piedestałach w ich licznych świątyniach. Wolałbym, żeby wymyśliły sobie jakąś nową religię, skoro nie mają dla tych kryształów innego zastosowania niż oddawanie im czci i składanie modłów. Pozwoliłyby nam wziąć wszystko, co tylko zechcemy, z wyjątkiem przedmiotów ich kultu religijnego, lecz gdyby nawet nauczyły się czerpać z nich moc, miałyby ich na tej planecie, zarówno na, jak i pod powierzchnią wystarczająco dużo. Co do mnie, mam już dość omijania głównych złóż i wyszukiwania pojedynczych kryształów na brzegach rzek i w głębi dżungli. Nadejdzie taki dzień, kiedy zaczną nalegać, by nasi chłopcy z oddziału komandosów zrobili porządek z tymi łuskokórnymi żebrakami. Dwadzieścia siałek w transportowych wojska wystarczyłoby w zupełności. Nie sposób nazwać tych istot „ludźmi”, pomimo „miast” i wznoszonych przez nie wież. Nie dysponują innymi umiejętnościami z wyjątkiem budowania - a także używania mieczy i zatrutych strzał, ja natomiast nie wierzę, by ich tak zwane „miasta” znaczyły więcej niż byle mrowisko czy bobrowe żeremie. Wątpię, czy mają choćby swój język, cała ta gadanina o komunikacji psychologicznej za pomocą macek na ich piersiach nie wydaje mi się warta funta kłaków. Ludzi głównie myli ich wyprostowana postawa, ot, przypadkowe fizyczne podobieństwo do ziemskiego człowieka.

Chciałbym choć raz móc przemierzać dżunglę Wenus bez potrzeby wypatrywania ich przemykających cichcem gromad ani uchylania się przed ich przekłętymi strzałami. Może przedtem, nim zaczęliśmy gromadzić kryształy, nic było z nimi problemów. Teraz jednak nielicho dają się nam we znaki, rażąc nas strzałami uszkadzając rury doprowadzające wodę. Coraz bardziej jestem przekonany, że posiadają jakiś szczególny zmysł, coś jak nasze ' detektory kryształów. Nikt nigdy nie spotkał się z przypadkami, by zaatakowały człowieka - z wyjątkiem strzałów z dużej odległości - który nie miałby przy sobie kryształów.

Około pierwszej po południu jedna z ich strzał o mało nie zdarła mi z głowy hełmu i przez chwilę lękałem się, że przebicie uległ mój aparat tlenowy. Sprytnie diabelstwa są piekielnie ciche, nie wydały nawet najmniejszego

dźwięku, a jednak aż trzy zdołały podejść mnie zniechacka. Dostałem je wszystkie, przeciągając gładko dookoła ogniem z mego pistoletu, gdyż tak bardzo barwą ziewały się z tłem dżungli, że nie byłem w stanie ich wypatrzeć pojedynczo. Jeden z nich miał osiem stóp wzrostu i pysk jak tapir. Pozostałe dwa, jak większość, siedem. Jedyne, co daje im przewagę, jest ich liczebność - wy starczy łyby jeden regiment wojska z miotaczami płomieni, a jaszczurom urządziłoby się prawdziwe piekło. Jednak to ciekawe, jakim cudem udało im się przejąć dominację na tej planecie. Nie ma tu istot wyższych od wijących się jak żmije dikmanów i skorahów, a na innym kontynencie latających tukahów... chyba że w tych otworach na Płaskowyżu Dionizyjskim coś się ukrywa.

Około drugiej mój detektor wychylił się ku zachodowi, wskazując, że gdzieś po prawej przede mną znajdowały się wyizolowane kryształy. Uzgodniwszy to z Andersenem, ruszyłem wytyczonym kursem. Droga była trudna, nie tylko ze względu na coraz większą stromiznę, lecz również większą liczbę zwierzyny i drapieżnych roślin. Cały czas niszczyłem ugraty i deptałem skorahy, a mój kombinezon ze skóry upstrzony był plamami rozprysniętych darohów, które uderzały we mnie ze wszystkich stron. Światło słoneczne było słabe, ze względu na mgłę i w ogóle nie osuszało błocka. Za każdym razem gdy się zatrzymywałem, moje stopy Zapadały się na pięć, sześć cali, a ich uwalnianiu towarzyszyły głośne mlaśnięcia. Chciałbym, aby ktoś wynalazł inny niż skórzany kombinezon, dostosowany do tego klimatu. Materiał, rzecz jasna, szybko by zgnił, niemniej jakiś rodzaj metalowych włókien odpornych na rozerwanie, jak powierzchnia obrotowego zwoju zapisowego, która właściwie się nie niszczy, stanie się kiedyś zapewne rewolucją w tej dziedzinie.

O wpół do czwartej spożyłem posiłek - jeśli można tym mianem określić wsuwanie przez maskę do ust tych okropnych tabletek żywnościowych. Wkrótce potem dostrzegłem wyraźną zmianę w krajobrazie, jasne, z wyglądu trujące kwiaty, które zmieniły kształty i falowały niczym widma. Zarysy wszystkiego skrzyły się i migotały rytmicznie, jasne punkciki światła pojawiały się i tańczyły w tym samym powolnym, regularnym tempie. Później, stopniowo zdawała się również zmieniać temperatura.

Cały wszechświat zdawał się objęty głębokim, regularnym pulsowaniem, przepelniającym najdalsze nawet zakątki przestrzeni mojego ciała i umysłu. Straciłem poczucie równowagi i zachwiałem się oszołomiony, niewiele również dało zamknięcie oczu i przesłonięcie dłońmi uszu. Mój umysł pozostał niezmacony i po kilku minutach zorientowałem się, co się stało.

Napotkałem w końcu jedną z owych niesamowitych roślin mirażowych, o których opowiadało tak wielu naszych ludzi. Andersen ostrzegał mnie przed mmi i dokładnie opisał ich wygląd - łodyga pokryta drobnym meszkiem, kolczaste liście i cętkowane kwiaty, których powodujące senność wyziewy przenikają w głąb każdej posiadanej przez nas maski.

Przypominając sobie, co trzy lata temu stało się z Baileyem, wpadłem w chwilową panikę i zacząłem krążyć chwiejnym krokiem po szalonym, chaotycznym świecie, który utkały wokół mnie wyziewy rośliny.

I nagle odzyskałem zdrowy rozsądek. Uświadomiłem sobie, że muszę jedynie wycofać się na bezpieczną odległość od groźnych kwiatów - oddalić się od źródła pulsowania i na oślep torować sobie drogę - nie bacząc na to, co mogło wic się i falować wokół mnie, póki nie znajdę się poza zasięgiem trującego oparu.

Choć wszystko dokoła wirowało jak opętane, spróbowałem ruszyć we właściwą stronę, wycinając rośliny nożem. Chyba nie poruszałem się w linii prostej, gdyż zdawało mi się, że minęły godziny. nim wyzwoliłem się spod zabójczego wpływu hipnotycznej rośliny. Tańczące światła stopniowo poczęły niknąć, a migocząca, widmowa sceneria przyjmować poprzednie, trwałe kształty. Znalazłszy się poza zasięgiem mirażowca, spojrzałem na zegarek i ze zdumieniem stwierdziłem, że było dopiero dwadzieścia po czwartej. Wydawało mi się, że minęły całe wieki, podczas gdy zdarzenie to trwało nieco dłużej niż pół godziny.

Niestety, nie mogłem sobie pozwolić nawet na chwilę zwłoki, a na dodatek, by uwolnić się spod działania mirażowca, musiałem sporo się cofnąć. Ruszyłem pod górę, zgodnie ze wskazaniem detektora kryształów, usiłując nadrobić stracony czas. Dżungla wciąż była gęsta, choć zwierzyny znacznie mniej niż dotychczas. W pewnej chwili mięsożerny kwiat schwytał mnie za prawą stopę i ścisnął tak mocno, że aby się uwolnić, musiałem użyć noża - puścił, dopiero gdy pociąłem go niemal na strzępy.

W niecałą godzinę później stwierdziłem, że dżungla zaczyna się przerzedzać, a o piątej, minąwszy pas paprociodrzew i rzadkich krzewów, znalazłem się na szerokim, omszałym płaskowyżu. Szedłem teraz szybko, a po wychyleniu igły detektora zorientowałem się, że znajdowałem się niedaleko kryształów, których poszukiwałem. To dziwne, bo zwykle tych jajowatych steroidów nie znajdowało się na nie zalesionych, wysoko położonych terenach.

Płaskowyż kończył się ostrą granią. Dotarłem do szczytu o wpół do szóstej, a w oddali przede mną dojrzałem rozległą, zalesioną równinę. Był to bez wątpienia płaskowyż naniesiony na mapę przez Matsugawę pięćdziesiąt lat temu po przelotach badawczych, opisany na naszych kartach jako „Eryx” albo „Góry Eryksu”. Serce załomotało mi w piersi, gdy ujrzałem pewien szczegół, znajdujący się nieopodal centrum równiny. Był to pojedynczy punkcik światła przebijający przez mgłę, zdający się ogniskować w sobie oślepiającą luminescencję żółtawych, wytłumionych przez opary promieni. Był to bez wątpienia kryształ, którego szukałem, obiekt nie większy od kurzego jaja, a jednak zawierający wystarczającą ilość mocy, by dać całemu miastu energii na rok. Ujrzawszy tę odległą poświatę, trudno było mi się dziwić, że jaszczuroludy mogą darzyć kryształy tak wielkim uwielbieniem. A jednak nie wiedział nic o ich wewnętrznej mocy. Rzucając się do biegu, próbowałem, najszybciej jak to możliwe, zdobyć tak nieoczekiwaną nagrodę i zdenerwowałem się, gdy sprężysty mech ustąpił miejsca lepkiemu, odrażającemu błocku, upstrzonemu spłachetkami chwastów i pnączy. Brnąłem przez nie, nie bacząc na nic,

prawie nie rozglądając się dokoła w poszukiwaniu jaszczuroludów. Było mało prawdopodobne, by próbowały zaatakować mnie na otwartej przestrzeni. Kiedy się zbliżyłem, światło przede mną zdawało się przybierać na sile i jasności, a zarazem stwierdziłem, że miało w sobie coś osobliwego. Najwyraźniej był to kryształ wyjątkowej czystości i jakości, dlatego jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Muszę odtąd sporządzać mój raport z wyjątkową ostrożnością, gdyż to, co zaraz powiem, jest z gruntu bezprecedensowe, aczkolwiek na szczęście weryfikowalne. Biegłem przed siebie coraz gwałtowniej i dotarłem na odległość jakichś stu jardów od kryształu, którego umiejscowienie na czymś w rodzaju podwyższenia pośród tego wszechobecnego szlamu wydało mi się nader dziwne, gdy wtem, z nienacką jakąś potężną siłą trafiła mnie w pierś i kłykcie zaciśniętych pięści i odrzuciła wstecz, w błoto. Runąłem w nie z głośnym plaśnięciem, lecz ani miękkość podłoża, ani obecność śliskich chwastów i roślin pnących nie ocaliły mnie przed bolesnym stłuczeniem głowy. Przez chwilę leżałem bez ruchu, zbyt zdezorientowany, by móc myśleć. Następnie na wpół mechanicznie podźwignąłem się na nogi i zacząłem ścierać muł i blocko z mego skózanego kombinezonu.

Nie miałem zielonego pojęcia, na co natrafiłem. Nie zauważyłem niczego, co mogłoby spowodować uderzenie, i teraz także nic nie widziałem. A może jedynie potknąłem się w błocie. Przeczyły temu moje obolałe kłykcie i żebra. A może cały ten incydent to iluzja wywołana przez jakąś ukrytą roślinę wywołującą halucynacje? Mało prawdopodobne, gdyż nie odczuwałem typowych symptomów, a w pobliżu nie było miejsca, gdzie mógłby rosnąć w ukryciu mirażowiec. Gdybym był na Ziemi, podejrzewałbym barierę n-mocy położoną przez jakiś rząd dla oznaczenia zakazanej strefy, lecz w tym odludnym miejscu coś takiego graniczyło z absurdem.

Działem się wreszcie w garść i postanowiłem ostrożnie zbadać to zjawisko. Wysuwając przed siebie nóż, by jego ostrzem wyczuć granicę osobliwej bariery, ponownie ruszyłem w stronę lśniącego kryształu, posuwając się wolno, krok za krokiem. Po trzecim zatrzymałem się, choć moje oczy niczego nie dostrzegły, gdy czubek ostrza noża natrafił na jakąś solidną powierzchnię.

Po krótkiej chwili odzyskałem panowanie nad sobą. Wysuwając przed siebie lewą dłoń, przyobleczoną w rękawicę, zweryfikowałem obecność niewidocznej materii stałej, a raczej namacalnej iluzji takiej materii - znajdującej się przede mną. Wodząc dłonią, stwierdziłem, że bariera sprawiała wrażenie stałej substancji, gładkością niemal dorównywała szkłu, a na jej powierzchni nie natrafiłem na miejsca złączy.

Chcąc kontynuować badania, zdjąłem rękawicę i dotknąłem bariery gołą ręką. Była rzeczywiście twarda i gładka jak szkło, a jej osobliwy chłód stanowił uderzający kontrast w porównaniu z panującym wokół gorącem. Wyteżyłem wzrok, usiłując dostrzec choć ślad tworzącej zaporę substancji. Bariera nie odbijała światła. Była przezroczysta tak doskonale, że to, co się za nią znajdowało, widziałem bez najmniejszych zakłóceń.

Niezaspokojona ciekawość zaczęła wypierać wszystkie inne odczucia, toteż, najlepiej jak potrafiłem, podjąłem dalsze badania. Macając dłońmi, stwierdziłem, że zaporę wznosiła się od samej ziemi, wyżej, niż byłem w stanie dosięgnąć, i że na prawo i lewo rozciągała się na nieokreśloną odległość. Była to więc jakby ściana, choć nie potrafiłem stwierdzić, z czego ani po co ją zbudowano. Znowu przyszedł mi na myśl mirażowiec i wywoływane przezeń iluzje, lecz już po chwili odrzuciłem od siebie to potencjalne wytłumaczenie mojej obecnej sytuacji. Uderzając silnie w zaporę ręką i kopiąc w nią ciężkimi butami, spróbowałem odgadnąć rodzaj powstających przy tym dźwięków.

W odgłosach tych pobrzmiwało echo jak przy uderzeniach w beton albo w cegłę, choć niewidzialna materia przypominała w dotyku szkło lub metal. Niewątpliwie napotkałem coś osobliwego, wykraczającego poza wszelkie znane człowiekowi doświadczenia.

Następnie należało zorientować się, choćby pobieżnie, w wymiarach muru. Określenie wysokości mogło okazać się trudne, jeśli nie niemożliwe, natomiast sprawdzenie kształtu i długości powinno być znacznie łatwiejsze i szybsze. Wyciągając ręce na boki i niemal przywierając do zapory, zacząłem przesuwając się powoli w lewo, zapamiętując przy tym to, co widziałem po drugiej stronie przejrzystej ściany.

Po kilku krokach wiedziałem już, że mur nie był prosty, lecz miał formę sporego okręgu lub może elipsy. Wtem uwagę mą przykuło coś zupełnie innego - coś, co wiązało się z wciąż odległym kryształem będącym obiektem moich poszukiwań.

Wspomniałem już, że nawet z większej odległości pozycja lśniącego obiektu wydała mi się nieskończenie dziwna, stał on bowiem na niewielkim pagórku wylaniającym się z blocka. Teraz, z odległości jakichś stu jardów, pomimo mgły mogłem ujrzeć wyraźnie, czym był ów pagórek. To było ciało mężczyzny w skózanym kombinezonie kompanii „Kryształ”, leżące na piecach. Z maską tlenową na wpół zagłębioną w szlamie nieopodal. W prawej ręce, przyciśniętej konwulsyjnie do piersi, tkwił kryształ, który mnie tu sprowadził, niewiarygodnie duży sferoid, tak potężny, że palce trupa prawie nie mogły go objąć. Nawet z tej odległości potrafiłem stwierdzić, że śmierć musiała nastąpić niedawno. Nie było jeszcze wyraźnych oznak rozkładu i uświadomiłem sobie, z uwagi na tutejszy klimat, że człowiek ów musiał umrzeć zaledwie dzień wcześniej. Wkrótce nad ciałem zaczęły zbierać się roje tych obrzydliwych much farnoth. Zastanawiałem się, kim był ten człowiek. Z pewnością nie widziałem go podczas tej podróży.

To musiał być jeden ze starszych, nieobecny podczas długiej nudnej odprawy, który wybrał się w tę okolicę sam, bez nadzoru Andersena. I teraz leżał tam, a spomiędzy jego zesztyniałych palców wystawał emanujący promieniem oślepiającego światła wielki kryształ. Przez całe pięć minut stałem tam, patrząc pełen lęku i zakłopotania. Dziwny niepokój ogarnął moje serce i poczułem niewyjaśnioną bliżej chęć natychmiastowej ucieczki.

Tego nie mogły być te ohydne jaszczuroludy, gdyż w palcach trupa wciąż tkwił potężny kryształ. Czy było to w jakiś sposób związane z niewidzialnym murem? Gdzie ów człowiek znalazł ten kryształ? Instrument Andersona pokazywał jeden w tym rejonie, na długo przed tym, zanim ten człowiek wyzionął ducha. Zacząłem teraz odbierać niewidzialną barierę jako coś złowrogiego i cofnąłem przed nią, czując na plecach lodowate ciarki. Mimo to wiedziałem, że właśnie ze względu na niedawną tragedię muszę tę zagadkę jeszcze szybciej i staranniej, niż zamierzałem.

Nagle, koncentrując się na tym zacząłem zastanawiać się nad , możliwością zbadania wysokości muru, a przynajmniej stwierdzenia, czy gdzieś się on jednak kończył.

Nabrałem garść błota i przez rozsunięte palce odsączyłem wodę, a bardziej zwartą pozostałość cisnąłem ku niewidzialnej, przeczocznej zaporze.

Na wysokości około czternastu stóp błądząc głośnym plaśnięciem trafiło w ścianę i natychmiast zaczęło szybko spływać w dół rozmywającymi się strugami. Ściana musiała być bardzo wysoka. Druga garść mułu ciśnięta pod jeszcze ostrzejszym kątem trafiła w cel około osiemnastu stóp nad powierzchnią gruntu i znikła równie szybko jak pierwsza.

Zebrałem w sobie siły i przygotowałem się, by rzucić możliwie jak najwyżej trzecią garść błota. Pozwalając, by obciekło, i uzyskało możliwie najtrwalszą konsystencję, rzuciłem ją pod kątem tak ostrym, że obawiałem się, czy w ogóle dosięgnie niewidzialnej powierzchni. Udało się i tym razem przeleciała na drugą stronę, by plasnąć z impetem w lepką brudną breję. Miałem wreszcie jakieś pojęcie o wysokości muru, gdyż musiałem cisnąć błotem około dwudziestu stóp w górę, by przerzucić je na drugą stronę.

Wspinaczka na tę wysokość, po gładkim, prostym jak szkło murze nie wchodziła w rachubę. Musiałem przeto iść wzdłuż ściany w nadziei na znalezienie wyjścia, przerwy lub jej końca. Czy bariera tworzyła pełny okrąg lub może miała kształt półokręgu lub łuku? Przechodząc do działania, podjąłem przerwany marsz w lewo, przez cały czas wodząc dłońmi w górę i w dół po niewidocznej powierzchni, w nadziei na odnalezienie okna, przerwy czy jakiegoś innego otworu. Zanim zacząłem, spróbowałem jeszcze oznakować swą obecną pozycję, wygrzebując w mule otwór, lecz już po chwili nie zostało po nim śladu. Oszacowałem je jednak, zauważając wysoki sagowiec w odległym lesie, rosnący niemal idealnie w linii prostej względem znajdującego się o sto jardów ode mnie kryształu. Gdybym nie natrafił na otwór ani przejście, mógłbym sądzić, że obszedłem mur dokoła.

Nie dotarłem daleko, gdy okazało się, że niewidzialna ściana ma kształt okręgu o średnicy jakichś stu jardów, zakładając, że krzywizna muru była regularna. To by znaczyło, że trup leżał w pobliżu ściany dokładnie naprzeciw miejsca, w którym znalazłem się na początku. Czy znajdował się wewnątrz czy na zewnątrz bariery? Wkrótce miałem się o tym przekonać.

Kiedy niespiesznie szedłem wzdłuż ściany bariery, w poszukiwaniu jakiegoś otworu, stwierdziłem, że włóki znajdowały się wewnątrz. Z bliska oblicze trupa sprawiało niepokojące wrażenie. Odkryłem coś niesamowitego w jego wyrazie twarzy i niewidzących, przeszkłonych oczu. Zanim się do nich zbliżyłem, nabrałem pewności, że były to włóki niejakiego Dwighta, weterana, którego nigdy nie znałem, lecz o którym wspomniano mi na placówce w ubiegłym roku. Kryształ, który ścisnął w dłoń, był nie lada okazem, największym, jaki kiedykolwiek widziałem. Dotarłem do ciała najbliżej, jak tylko mogłem, i gdyby nie bariera, zapewne mógłbym go dotknąć, gdy wtem moja wysunięta do przodu lewa dłoń natrafiła na naroże w niewidzialnej powierzchni. W ciągu sekundy stwierdziłem, że napotkałem otwór szerokości około trzech stóp, ciągnący się od powierzchni ziemi wyżej, niż byłem w stanie dosięgnąć. Nie było drzwi ani zawiasów, które mogły świadczyć, że kiedyś się tu znajdowały. Bez chwili wahania stąpiłem przez próg i podszedłem dwa kroki w stronę spoczywającego w błocie ciała, leżącego pod kątem prostym do przejścia, przez które tu dotarłem, w czymś, co zdawało się poprzecznym, pozbawionym drzwi korytarzem. Ogarnęła mnie nowa fala zaciekawienia, gdy odkryłem, że ta ogromna zamknięta przestrzeń podzielona była przepierzeniami. Pochylając się, by zbadać i, nie znalazłem na nim żadnych ran. To właściwie mnie nie zdziwiło, gdyż kryształ zaprzeczał obecności jaszczuropolodnych tubylców. Zastanawiałem się nad potencjalną przyczyną śmierci, i wtedy zatrzymałem wzrok na masce tlenowej leżącej u stóp trupa. Był to jakiś znak. Bez tego urządzenia żaden człowiek nie mógł oddychać wenusjańskim powietrzem dłużej niż trzydzieści sekund, a Dwight - jeżeli to był on - najwyraźniej zgubił swoją. Prawdopodobnie była źle dopięta i ciężar butli tlenowych obluźował paski - coś takiego nie mogło się wydarzyć przy masce Duboisa z gąbkowym filtrem. Pół minuty odroczenia to za mało, by człowiek mógł pochylić się i odzyskać swoją ochronę, kto wie, może w owym czasie stężenie cyjanu atmosferze było szczególnie wysokie. Prawdopodobnie był zajęty podziwianiem kryształu, gdziekolwiek go znalazł. Najwyraźniej wyjął go z kieszeni przy kombinezonie, klapka była bowiem odpięta.

Spróbowałem wyłuskać kryształ z rąk martwego poszukiwacza, co było szczególnie trudne z uwagi na zeszywnienie włók. Sferoid był większy od męskiej pięści i błyszczał jak żywy w czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Gdy dotknąłem lśniącej powierzchni, mimowolnie zadrżałem, jakbym przejmując ten drogocenny przedmiot, brał na siebie również zgubną klątwę, która dosięgła jego poprzedniego właściciela. Wkrótce moje obawy poszły w niepamięć i wsunąłem kryształ do kieszeni mego skórzanego kombinezonu. Nigdy nie należałem do ludzi przesądnych i nie wierzyłem w zabobony.

Złożywszy hełm na twarzy trupa, wyprostowałem się i wycofałem przez niewidzialne przejście do korytarza wejściowego wielkiego, niewidzialnego ogrodzenia. Znowu zaintrygowała mnie ta budowla i zacząłem się zastanawiać nad jej pochodzeniem, celem i materiałem, z którego ja wzniesiono. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że mogła być dziełem rąk ludzkich. Nasze statki dotarły do Wenus zaledwie siedemdziesiąt dwa lata temu, a

jedynie istoty ludzkie na tej planecie znajdowały się na stacji Terra Nova. Człowiek nie zna tak przejrzystej, gładkiej i trwałej substancji, która posłużyła za budulec do wzniesienia tych murów. Prehistoryczne inwazje ludzi na Wenus należy raczej wykluczyć, musiałem zatem uznać, że dzieło to było wytworem tubylców. Czy planeta Wenus przed jaszczurami władała jakąś inną, zapomnianą, inteligentną rasą? Pomimo dość kunsztownie budowanych miast trudno uznać, że te mury były dziełem jaszczurołudów. Eony temu musiała tutaj istnieć jakaś inna rasa, a ten niewidzialny twór mógł być ostatnią po nich pozostałością. A może przyszłe ekspedycje odnajdą inne podobne ruiny? Trudno dociekać, czemu służyła ta budowla, niemniej jej osobliwy i zupełnie niepraktyczny budulec zdaje się sugerować charakter religijny.

Uznawszy, że rozwiązanie tych zagadek przekraczało moje możliwości, postanowiłem zbadać niewidzialną budowlę. Byłem pewien, że na tej błotnistej i pustej z pozoru równinie znajdowało się mnóstwo rozlicznych pomieszczeń i korytarzy, i że poznanie ich układu może okazać się dla mnie nader istotne. Tak więc przestępując przez próg niewidzialnego wejścia i minawszy ciało, zacząłem iść wzdłuż korytarza, ku wewnętrznym pomieszczeniom, skąd poprzednio dotarł tu martwy teraz mężczyzna. Później zbadam korytarz, którym tu przyszedłem.

Macając dłońmi jak ślepiec, pomimo słonecznego światła lekko rozmytego wśród mgieł, powoli ruszyłem naprzód. Wkrótce dotarłem do załomu korytarza, który coraz węższymi łukami zakręcał spiralnie ku środkowi. Od czasu do czasu natrafiałem na pozbawione drzwi poprzeczne przejście, a kilkakrotnie znalazłem się na skrzyżowaniu dwóch, trzech, a nawet czterech korytarzy. W tych ostatnich przypadkach zawsze wybierałem wiodący ku środkowi układu korytarz, który okazywał się zwykle przedłużeniem tego, którym właśnie podążałem. Na badanie odgałęzień je będzie mnóstwo czasu później, kiedy wrócę z samego serca niewidzialnej budowli. Trudno mi opisać, co czułem, kiedy tak podążałem niewidocznymi przejściami wewnątrz niewidocznego architektonicznego tworzenia wzniesionego dłońmi zapomnianej rasy na obcej planecie.

W końcu, wciąż macając na oślep, dotarłem do końca korytarza i otwartej przestrzeni. Wyczuwając dłońmi przestrzeń dokoła, stwierdziłem, że znalazłem się w okrągłym pomieszczeniu szerokości około dziesięciu kroków. Pamiętając, gdzie pozostawiłem trupa, oszacowałem, że to pomieszczenie znajdowało się w samym lub tuż obok środka budowli. Wychodziło zeń pięć korytarzy, prócz tego, którym tu dotarłem, ten jednak wciąż miałem pamięci, stojąc u wejścia i patrząc z uwagą poza ciało, na pewne szczególne drzewo na horyzoncie. W pomieszczeniu nie było nic, co odróżniałoby je od innych - może tylko cieńsza warstewka błota zalegająca grunt. Zastanawiając się, czy ta część budynku posiada dach, powtórzyłem swój eksperyment z rzucaniem garści błota i odkryłem, że i tu ściany nie mają zadasznienia. Nawet jeśli było, dawno temu musiało runąć, gdyż pod stopami, prócz błota, nie natrafiłem na żadne szczątki ani zwalone bloki. Gdy to sobie uświadomiłem, wydało mi się szczególnie dziwne, że tak starodawna budowla nie murszeje, w ścianach nie ma żadnych szczelin ani ubytków, nie widać też żadnych innych oznak uszkodzeń wywołanych upływem czasu. Co to było? Czym było kiedyś? Z czego zostało wykonane? Dlaczego w szklistych, osobliwie jednorodnych murach nie było żadnych śladów ich podziału na poszczególne bloki? Czemu nie było tu drzwi, zarówno wewnętrznych, jak i na zewnątrz? Wiedziałem tylko, że znalazłem się w okrągłej, pozbawionej dachu i drzwi budowli wykonanej z jakiegoś gładkiego, idealnie przejrzystego, nieodbijającego ani niezałamującego promieni słońca budulca, o średnicy stu jardów, z wieloma korytarzami i małym okrągłym pomieszczeniem pośrodku. To wszystko, co zdołałem stwierdzić na podstawie bezpośrednich badań.

Zauważyłem, że słońce wisiło teraz bardzo nisko nad horyzontem na zachodzie - złocistobrunatny dysk skąpany w szkarłacie i oranżu, wylaniający się nad spowitymi w oparach mgieł lasami. Powinienem się pospieszyć, jeśli przed zmrokiem chciałem znaleźć sobie jakieś miejsce do spania na suchym gruncie. Już dawno temu postanowiłem, że spędzę noc na omszałej ziemi, przy skraju płaskowyżu, gdzie po raz pierwszy spostrzegłem kryształ, ufając, że szczęście jak zwykle mi dopisze i uchroni przed atakami jaszczurołudów. Zawsze twierdziłem, że powinniśmy wędrować dwójkami, albo nawet w grupach, aby ktoś mógł trzymać straż, podczas gdy inni będą spać, lecz niewiele w sumie ataków nocnych sprawiło, że kompania nie przejmowała się takimi drobiazgami. Te łuskowate pokraki chyba słabo widzą po ciemku, nawet przyświecając sobie tymi dziwnymi łunopochodniami.

Powróciwszy do korytarza, którym dotarłem do wnętrza budowli, zacząłem wycofywać się w kierunku wyjścia. Dalsza penetracja budowli mogła zaczekać do jutra. Starając się możliwie najsprawniej przemierzać spiralny korytarz, posługiwałem się zmysłami, pamięcią i pewnymi charakterystycznymi elementami podłoża w rodzaju kęp chwastów na równinie, by dobrać do wyjścia. Niebawem znów znalazłem się w pobliżu trupa. Nad zasłoniętą hełmem twarzą unosiły się teraz jedna lub dwie muchy farnoth i wiedziałem, że zwłoki zaczęły ulegać rozkładowi. W przyływie próżnego, instynktownego obrzydzenia, uniosłem dłoń, by odegnać tę awangardę ścierwojadów, gdy wtem stało się coś dziwnego i zdumiewającego. Poczulem przed sobą ścianę, zatem pomimo usilnych starań nie udało mi się dotrzeć do korytarza, gdzie spoczywały zwłoki. Znalazłem się w równoległym korytarzu, skręciwszy omylnie kilka przecznicy temu w niewłaściwą odnogę przejścia.

W nadziei, że znajdę gdzieś przed sobą wejście do korytarza głównego, szedłem dalej, lecz w końcu natknąłem się na ścianę. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko powrót do pomieszczenia centralnego i podjęcie ponownej próby. Nie wiedziałem, gdzie popełniłem błąd. Wbiłem wzrok w podłoże, by sprawdzić, czy jakimś cudem pozostały w nim ślady moich stóp, lecz szybko zorientowałem się, że w gęstym bloku nawet najtrwalszy odcisk rozpułwał się po kilku sekundach. Nie miałem większego problemu ze znalezieniem drogi do centrum budowli i ponownie ruszyłem w drogę powrotną. Wcześniej poszedłem zbyt daleko w prawo. Tym razem muszę zdecydować się na lewą odnogę. Posuwając się naprzód, zastanawiałem się, którą wybrać. Gdy po raz wtóry ogarnęła mnie niemal niezmacona pewność co do słuszności obranego kierunku, wybrałem jedną z odnóg korytarza prowadzącą w lewo, którą, byłem tego pewien, zapamiętałem. Kontynuowałem marsz po spirali i starałem się nie zbłądzić w żadną z

licznych przecznicy. Wkrótce jednak z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że mijam zwłoki w znacznej odległości; najwyraźniej ten pasaż dochodził do zewnętrznego muru w sporym od nich oddaleniu. W nadziei, że w połowie długości muru znajdowało się inne, nie znane mi wyjście, przeszedłem dobrych kilka kroków, lecz i tym razem natrafiłem przed sobą na barierę nie do przebycia. Najwyraźniej plan budowli był znacznie bardziej skomplikowany, niż mi się wydawało.

Zastanawiałem się, czy znów mam wrócić do centrum budowli czy może spróbować dotrzeć do zwłok którymś z poprzecznych pasażów.

Gdybym zdecydował się na to drugie, ryzykowałem utratę opracowanego w myślach układu budowli. Mogę się na to zdobyć tylko wówczas, gdy obmyślę sposób na pozostawienie za sobą jakiegoś widocznego śladu. Było to jednak nie lada problemem i przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad jego rozwiązaniem. Nie miałem przy sobie nic, co pozostawiałoby ślady, nic, co mógłbym rozrzucić albo choćby podrzeć na kawałki. Moje pióro nie pozostawiało śladów na niewidzialnej ścianie, a przecież nie mogłem zużyć mych bezpiecznych tabletek żywnościowych. Nawet gdybym zdobył się na to, było ich zbyt mało, a niewielkie pigułki zapewne natychmiast pogrążyłyby się w błocie. Przetrasnąłem kieszenie w poszukiwaniu starożywnościowego notesu - często używanego na Wenus nieoficjalnie, mimo że papier w tutejszej atmosferze bardzo szybko się rozkładał - którego kartki mógłbym wyrwać i podrzeć na drobne strzępki, lecz żadnego przy sobie nie miałem. Rozerwanie twardej metalowej powłoki urządzenia zapisowego nie wchodziło w grę, mojego ubrania także. W szczególnej atmosferze Wenus nie mogłem, z uwagi na własne bezpieczeństwo pozbyć się skórzanego kombinezonu, a bielizny ze względu na klimat nie miałem w ogóle. Próbowałem rozsmarowywać błoto na gładkich, niewidzialnych ścianach, po możliwie jak najlepszym odsączeniu go w garści z wody, lecz, jak się okazało, zniknęło ono równie szybko jak to, którym ciskałem, usiłując określić wysokość ściany. Sięgnąłem w końcu po nóż i próbowałem wydrapać jakiś znak na szklistej, niewidzialnej powierzchni, cokolwiek, co mógłbym uznać za punkt odniesienia, choćby nawet był niewidoczny z większej odległości. Nic z tego. ostrze noża nie pozostawiło na zagadkowej powierzchni najmniejszego śladu.

Sfrustrowany, po kolejnej nieudanej próbie oznakowania swego szlaku, ponownie spróbowałem „z pamięci” dotrzeć do pomieszczenia centralnego. Powrót tam wydawał się prostszy aniżeli odnalezienie wyjścia na zewnątrz i raz jeszcze trafiłem tam bezbłędnie. Tym razem zapisałem na moim zwoju informację o każdym obieranym przez siebie skręcie, tworząc dość prymitywny hipotetyczny diagram wędrówki i oznaczając wszystkie napotkane po drodze korytarze. Była to, rzecz jasna, praca wyjątkowo żmudna i czasochłonna, gdyż stale musiałem posługiwać się dłońmi, a możliwości pomyłki były wręcz nieograniczone, niemniej uznałem, że na dłuższą metę mój trud się opłaci.

Zacząłem zmierzchać, kiedy dotarłem do głównego pomieszczenia, a ja wciąż miałem nadzieję, że jeszcze przed zmrokiem znajdę się na zewnątrz. Porównując mój nowy schemat z wcześniejszymi, z pamięci, wydawało mi się, że wiedziałem już, gdzie popełniłem omyłkę, toteż pewny siebie raz jeszcze wyruszyłem w głąb niewidzialnych korytarzy. Skręciłem znacznie bardziej w lewo niż poprzednio i starałem się zapisywać na zwoju całą trasę marszruty, na wypadek ewentualnej omyłki. W gęstniejącym zmierzchu widziałem rozmyte kontury trupa, oblepionego chmurą odrażających much farnoth. Bez wątpliwości już wkrótce zaczną tu napływać z równiny żyjące w mule sifclighi, by dokończyć upiornego dzieła. Zbliżając się z pewnym wahaniem do trupa, już miałem go minąć, gdy nagle zderzenie z niewidzialną ścianą uświadomiło mi, że znów zmyliłem drogę.

Wiedziałem już, że zabłądziłem. Układ budowli był tak złożony, że jego poznanie musiało okazać się czasochłonne i prawdopodobnie, zanim się stąd wydostanę, czeka mnie jeszcze dużo pracy. Mimo to pragnąłem znaleźć się jeszcze przed nocą na suchym gruncie, dlatego też wróciłem do centrum budynku i zająłem dość chaotyczne poszukiwania wyjścia na chybił trafił. Robiąc notatki w świetle mej elektrycznej lampy. Używając jej, zauważyłem nagle, że nie powodowała ona refleksów, nawet najślabszego rozświetlenia, najmniejszego odbicia światła od przezroczystych ścian znajdujących się wokół mnie. Byłem jednak na to przygotowany, wszak podobnie rzecz miała z promieniami słońca.

Wciąż jeszcze macałem dłońmi wokół siebie, gdy zmierzch z wolna przeszedł w mroczną noc. Gęsta mgła przesłoniła większość gwiazd i planet, lecz na południowym wschodzie widać było wyraźnie lśniącą, błękitnozieloną kulę Ziemi. Wspaniale prezentowałyby się przez teleskop. Gdyby opary choć na chwilę się przerzedziły, mógłbym nawet dostrzec księżyc obok niej. Nie byłem już w stanie dostrzec trupa, mojego jedyne punktu orientacyjnego, toteż po kilku omyłkowo obranych skrętach wróciłem do głównego pomieszczenia. Chyba mogłem pożegnać się z myślą o spędzeniu nocy na suchym podłożu. Do brzasku raczej nic nie zdziałam, więc równie dobrze mogłem przeczekać tutaj. Leżenie w bloku nie mogło być przyjemne, lecz w moim skromnym kombinezonie jakoś powinienem to wytrzymać. Podczas poprzednich ekspedycji sypiałem w znacznie gorszych warunkach, teraz zaś wyczerpanie pomogło mi przemoc odrażyć i wstręt. I oto jestem tu, wpołóżąc w centralnym pomieszczeniu, sporządzając w świetle mej elektrycznej lampy zapisy na zwoju raportowym. To, co mi się przytrafiło, jest poniekąd zabawne. Pomyśleć tylko! Zabłądziłem w budynku bez drzwi, budynku, którego nie widać! Niewątpliwie wydostanę się stąd wczesnym rankiem i jeszcze przed południem wrócę z kryształem do Terra Novy. Jest przepiękny, jego blask widać nawet w słabym migotliwym świetle mojej lampy. Właśnie skończyłem go oglądać. Pomimo zmęczenia sen nachodzi mnie wolno, toteż sporo czasu poświęciłem na pisanie. Teraz muszę już przerwać. W tym miejscu raczej nie powinienem lękać się tych przeklętych tubylców. Najbardziej mierzwi mnie bliskość trupa, ale na szczęście maska tlenowa działa bez zarzutu i oddziela mnie od najbardziej nieprzyjemnych wrażeń zapachowych. Staram się oszczędnie korzystać z kostek chloranu. Teraz zjem jeszcze kilka tabletek żywnościowych i trochę odpocznę. Ciąg dalszy później.

## PÓŹNE POPOŁUDNIE 13 VI

Miałem więcej kłopotów, niż się spodziewałem. Wciąż jestem w budynku i będę musiał działać szybko a roztropnie, jeżeli chcę dzisiejszą noc przespać na suchym gruncie. Długo trwało, nim w końcu zmorzył mnie sen, a dziś obudziłem się dopiero koło południa. Spałbym zapewne dłużej, gdyby nie promienie słońca przebijające przez mgłę. Trup nie był miłym dla oka widokiem, wił się od oblepiających go sificlighów, a powyżej unosiła się chmara much farnoth. Coś zrzuciło z twarzy zmarłego hełm i teraz lepiej na nią nie patrzeć. Na myśl o tym ucieszyłem się podwójnie, że miałem na twarzy maskę tlenową.

Kiedy się w końcu osuszyłem i odrapałem ubiór z błota, łyknąłem kilka tabletek żywnościowych i włożyłem do elektrolizera maski nową kostkę chloranu potasu. Choć korzystałem z nich oszczędnie, wolałbym mieć większy zapas. Po przespanej nocy poczułem się nieco lepiej i wierzyłem, że już wkrótce wydostanę się z budowli.

Sprawdzając notatki i szkice, które sporządziłem, poraziła mnie złożoność układu korytarzy i ogrom możliwości popełnienia omyłki. Spośród sześciu wyjść z pomieszczenia centralnego wybrałem to, którym tu wszedłem, ufając, że niezawodny dotąd wzrok pozwoli mi wydostać się na zewnątrz. Gdy stałem w przejściu oddalony o pięćdziesiąt jardów trup znajdował się w linii prostej do lepidodendrona na skraju odległego lasu. Nagle uświadomiłem sobie, że wzrok może nie wystarczyć do odszukania przeze mnie wyjścia - odległość drzew od zwłok wydawała się nieco inna, niż gdy oszacowywałem ją wówczas, kiedy wszedłem po raz pierwszy do niewidzialnej budowli. Co więcej, drzewo nie różniło się zbytnio od innego lepidodendrona widocznego na horyzoncie.

Zastanawiając się nad tym, zaniepokoiłem się, że nie jestem w stanie określić, które z trzech wejść było tym właściwym.

Czy za każdym razem pokonywałem inną trasę?

Tym razem będę mieć pewność. Pomimo niemożliwości oznakowania drogi było coś, co mogłem pozostawić. Choć nie mogłem zdjąć kombinezonu, z uwagi na dość bujną czuprynę postanowiłem pozbyć się hełmu. Był on duży i na tyle jasny, że powinien być widoczny nawet w tym błocie. Zdjąłem go i położyłem u wejścia jednego z trzech korytarzy, który znajdował się najdalej po prawej i który zamierzałem spenetrować.

Wybrałem właśnie ten, licząc, że był właściwy, powtarzając marszrutę uznawaną przeze mnie za słuszną i raz po raz sporządzając bądź konsultując notatki. Jeżeli nie zdołam się wydostać, dzięki temu systematycznemu działaniu wyczerpię wszystkie możliwości, a jeżeli i to nie przyniesie rezultatu, w ten sam sposób spenetruję korytarze sąsiedniego przejścia. Jeśli okaże się konieczne, sprawdzę również pasaż trzeciego z otworów wyjściowych. Prędzej czy później, niechybnie trafię do wyjścia, ale musiałem. Zachować cierpliwość. Nawet w najgorszym przypadku tę noc powinienem przespać w suchym miejscu.

Pierwsze wyniki raczej nie okazały się zachęcające, choć pomogły mi po niecałej godzinie wyeliminować prawą odnogę. Były to kolejne ślepe uliczki, kończące się w sporej odległości od trupa. Wkrótce zaś zorientowałem się, że poprzedniego popołudnia w ogóle nie zapuszczałem się z żadną z tych odnóg. Tak jak poprzednio, nie miałem większych problemów z powrotem do pomieszczenia centralnego.

Okolo pierwszej po południu przeniósłem mój hełmznacznik do następnego przejścia i zacząłem badać znajdujące się za nim korytarze. Z początku wydawało mi się, że rozpoznaję te zakręty, lecz już niebawem znalazłem się w zupełnie mi nie znanych pasażach. Nie mogłem zbliżyć się do trupa i tym razem zostałem również odcięty od głównego pomieszczenia, mimo iż starannie notowałem wszystkie swoje posunięcia. Wydawało się, że tutejsze zwodnicze zakręty i połączenia przejść były zbyt skomplikowane, bym mógł nanieść je właściwie na sporządzone przez siebie prymitywne szkice, powoli też zaczęły mnie ogarniać zniechęcenie oraz gniew. Cierpliwość, rzecz jasna, weźmie w końcu górę, lecz moje poszukiwania będą z pewnością długotrwałe, żmudne i drobiazgowo.

O drugiej wciąż jeszcze krążyłem na próżno po dziwnych korytarzach - bez przerwy macając wokół siebie obiema rękami, popatrując raz po raz, to na hełm, to na trupa, i z coraz mniejszą pewnością siebie wprowadzając zapisy na zwoju. Przeklinałem głupotę i ciekawość, które sprowadziły mnie do tego labiryntu niewidocznych murów, i doszedłem do wniosku, że gdybym dal sobie spokój i ruszył w drogę powrotną natychmiast po wyjęciu kryształu z rąk trupa, byłbym już dawno z powrotem w Terra Novie. Nagle przyszło mi na myśl, że może mógłbym wyróżnać nożem tunel pod niewidzialnymi ścianami i wydostać się tym skrótem na zewnątrz lub przynajmniej do głównego korytarza wyjściowego. Nie wiedziałem, na jaką głębokość sięgały fundamenty tej budowli, lecz wszechobecny muł zdawał się przeczyć obecności innego podłoża niż gleba. Oszacowując odległość od upiornego trupa, zacząłem zawzięcie kopać nożem o szerokim obosiecznym ostrzu. Półpłynne błocko miało jakieś sześć cali głębokości, pod nim zaś gęstość gruntu gwałtownie się zmieniała. Miał on inną konsystencję, gliniastą, szarą jak ta, której obecność zaobserwowano na Wenus na biegunie północnym. Stwierdziłem, że ziemia stawała się coraz twardsza. Wodnisty muł wpływał natychmiast do wyżłobionego przeze mnie otworu, zalewając jamę. chociaż to zupełnie nie umniejszało mego zapału do pracy. Gdyby udało mi się wyżłobić tunel pod niewidzialnym murem, błoto nie powstrzymałoby mnie przed przepelnieniem na drugą stronę.

Jednak na głębokości około trzech stóp twardość gruntu znacznym stopniu spowolniła tempo moich prac. Nigdy dotąd nie spotkałem się z równie nieustępliwą substancją, nawet na tej planecie, a co więcej, była ona równie twarda, co ciężka. Mój nóż musiał rozłupywać i wydłubywać kawałki zbitej, twardej gliny, a bryłki, które wygrzebywały, przypominały kamienie lub odłamki metalu. Wreszcie nawet rozłupywanie i wydłubywanie stało się niemożliwe i musiałem przerwać pracę, nie dotarwszy do dolnej krawędzi niewidzialnego muru.

Ta trwająca godzinę próba okazała się fatalna w skutkach, nie dość bowiem, że nie zdołałem się wydostać, to jeszcze straciłem podczas niej mnóstwo energii i musiałem spożyć dodatkową tabletkę żywnościową oraz włożyć kolejną kostkę chloranu do mojej maski tlenowej. Nie mogłem więc podjąć dalszych poszukiwań, byłem bowiem kompletnie wyczerpany i z trudem utrzymywałem się na nogach. Oczyściwszy z błota dłonie i ramiona, usiadłem, by sporządzić te notatki, opierając się plecami o niewidzialną ścianę, tak by nie widzieć gnijącego trupa.

To ciało jest teraz jedną wielką wijącą się masą ścierwojadów, trupi odór ściągnął tu z odległej dżungli kilka oślizgłych okmanów. Zauważyłem, że sporo efjehów, pasożytniczych roślin z równiny, wyciągnęło w stronę truchła swoje nekrofagiczne wici, wątpię jednak, czy są one dość długie, by mogły go osiągnąć. Chciałbym, aby pojawiły się drapieżniki w rodzaju skorahów. Mogłyby mnie zwietrzyć i spróbować dostać się do mnie. Takie stworzenia dysponują niezwykłym zmysłem orientacji. Mógłbym je obserwować i zapisywać trasę pojedynczego osobnika lub całej grupy. Nawet to mogłoby mi bardzo pomóc. A gdyby tu dotarły, rozprawiłbym się z nimi za pomocą mego pistoletu.

Nie mogę jednak zbyt na to liczyć. Teraz, gdy sporządzę te notatki, odpocznę przez pewien czas, a później znów zacznę szukać. Gdy tylko wrócę do pomieszczenia centralnego - co powinno być względnie proste - spróbuję szczęścia w pierwszym korytarzu po lewej. Może jednak mi się uda i jeszcze przed zmierzchem wydostanę się na zewnątrz.

## NOC 13 VI

Nowe kłopoty. Moja ucieczka będzie wyjątkowo trudna, gdyż pojawiły się przeszkody, których nie przewidziałem. Czeka mnie kolejna noc w błocie, a jutro zapewne także walka. Skróciłem czas odpoczynku i wstałem już o czwartej, by znów zacząć szukać. Piętnaście minut zajęło mi dotarcie do pomieszczenia centralnego i wtedy przenieśliem mój hełm pod ostatnie z trzech przejść. Po wejściu do korytarza odniosłem wrażenie, że widzę znajome pasażę, lecz niecałe pięć minut później, porażony widokiem, stanąłem jak wryty. Nie potrafię opisać tego, co wówczas poczułem. Ujrzałem grupkę czterech lub pięciu odrażających jaszczuroludów wyłaniających się z lasu po drugiej stronie równiny. Z tej odległości nie widziałem ich wyraźnie, lecz wydawało mi się, że przystanąły i odwróciły się w stronę drzew, żywo gestykułując, po czym dołączył do nich jeszcze tuzin. Ta gromadka zaczęła iść w stronę niewidzialnej budowli, ja natomiast przyjrzałem się im uważnie. Nigdy dotąd nie widziałem tych stworów z bliska, poza parnymi, pełnymi cieni ostępami dżungli.

Podobieństwo do gadów było wyraźne, choć powierzchowne, gdyż istoty te nigdy nie miały styczności z fauną Ziemi. Gdy się zbliżyły, stwierdziłem, że przypominają gady ze względu na płaskie łby i zieloną, pokrytą śluzem, jakby żabią skórę. Szyły wyprostowane na swych dziwacznych, grubych kończynach, a zdobiące je przywry pluskały, zanurzając się w gęstym błocku. Były to przeciętne osobniki, wzrostu około siedmiu stóp z czterema długimi, włóknistymi mackami piersiowymi. Ruchy tych macek - jeśli teorie Fogga, Ekberga i Janata są słuszne, w co wcześniej wątpiełem, lecz teraz jestem niemal gotów uwierzyć - wskazywały, że istoty prowadziły między sobą ożywiony dialog.

Wyjąłem mój miotacz ognia i nastawiłem się na ostrą walkę. Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej, lecz broń dawała mi przewagę. Jeśli jaszczuroludy znały tę budowlę, przyjdą tu po mnie, dając tym samym szansę wydostania się na zewnątrz, tak jak w przypadku skorahów. To, że zaatakują, było wręcz pewne, jeśli bowiem nie widziały kryształ, który miałem w kieszeni, niechybnie musiały wyczuwać jego obecność za pomocą swych niewiarygodnych zmysłów.

A jednak nie zaatakowały. To było zdumiewające. Miast tego rozproszyły się i uformowały dokoła mnie rozległy krąg, stając niemal tuż na skraju niewidzialnego muru. Ustawivszy się wkoło, zaczęły pytająco gapić się na mnie w milczeniu, poruszając lekko mackami i od czasu do czasu kiwając głowami lub wykonując nieznaczne gesty górnymi kończynami. Po dłuższej chwili leżałem wyłaniające się z lasu kolejne jaszczuroludy, one również zbliżyły się i dołączyły do swoich pobratymców. Te znajdujące się najbliżej trupa popatrywały nań spod oka, lecz żaden nawet nie próbował zbliżyć się do zwłok, a co dopiero ich dotknąć. Widok był zaiste odrażający, lecz na jaszczuroludach nie oblił chyba większego wrażenia. Od czasu do czasu jeden z nich odganiał kończynami lub mackami natarczywe muchy farnoth lub miazdżył pod stopami zaopatrzonymi w przyłgi oślizgłego sificligha, akmana bądź wić rośliny efjeh.

Spoglądając na tych groteskowych, niespodziewanych intruzów i zastanawiając się, dlaczego mnie od razu nie zaatakowały, straciłem na czas pewien wolę i energię do poszukiwania wyjścia. Miast tego oparłem się plecami o niewidzialną ścianę przejścia, gdzie stałem, pozwalając, by ciąg zdumiewających okoliczności ożywił w moich myślach najbardziej fantastyczne przypuszczenia. Setka zagadek, które wcześniej nie dawały mi spokoju, zdawała się nabierać nowego, złowrogięgo znaczenia, i aż zadrzałem z trwogi tak dojmującej, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem. Chyba wiedziałem już, dlaczego te odrażające istoty krążyły mnie wyczekująco. Wierzyłem też, że odgadłem w końcu sekret przezroczyściej budowli. Zwodniczy kryształ, który zdobyłem, ciało mężczyzny, który wcześniej był w jego posiadaniu, wszystkie te elementy zaczęły nabierać mrocznego, groźnego charakteru. To nie fatalny zbieg okoliczności sprawił, że zgubiłem się w tej niezadaszonej gmatwaninie korytarzy. Wręcz przeciwnie. Bez wątpienia to prawdziwy labirynt, wzniesiony celowo przez te piekielne istoty, których zdolności twórczych i mentalnych dotąd nie docenialiśmy. Czyż jednak nie podejrzewałem tego już wcześniej, wiedząc o ich niezwykłych uzdolnieniach architektonicznych? Cel był aż nadto jasny. Była to pułapka, pułapka na ludzi, a przynętę stanowił kryształowy sferoid. Te jaszczuroludy w swojej wojnie ze zbieraczami kryształów zmieniły strategię działania, wykorzystując swój największy atut przeciwko nam.

Dwight, jeśli te rozkładające się zwłoki to rzeczywiście był on, stał się ofiarą pułapki. Musiał wpaść w nią dawno temu i nie udało mu się znaleźć wyjścia. Brak wody doprowadził go zapewne do obłądzenia i być może zabrakło mu też kostek chloranu. Prawdopodobnie maska nie spadła mu przypadkiem. Podejrzewam, że było to raczej samobójstwo. Lepsze to niż powolna śmierć. Zapewne sam odpiął maskę, pozwalając, by zabójcza mieszanina gazów tutejszej atmosfery pozbawiła go życia szybciej i mniej boleśnie. Ironia losu polegała na tym, że jego ciało spoczywało zaledwie o kilka stóp od zbawionego wyjścia, którego nie zdołał odnaleźć. Zaledwie jedna minuta poszukiwań więcej i byłby bezpieczny.

A teraz ja tak jak on wpadłem w pułapkę. Byłem uwięziony, a ta zgraja osobliwych gapiów zdawała się drwić z moich poczynań. Ta myśl doprowadzała do szału, a gdy w pełni pojąłem jej sens, ogarnęła mnie krótkotrwała panika powodująca, że bez celu jałem krążyć po niewidzialnych korytarzach. Zachowywałem się jak szaleniec, potykając się, obijając i wpadając na niewidzialne ściany, aż w końcu runąłem w błoto niczym zdyszana, poturbowana, podrapana i bezmyślna bryła krwawiących tkanek. Upadek nieco mnie otrzeźwił, a gdy podniosłem się, powoli zacząłem baczenie zwracać uwagę na szczegóły i zmusiłem do działania mój umysł. Obserwatorzy kołysali mackami w dziwny, nieregularny sposób, sugerujący śmiech i drwinę. Kiedy wstałem, pogroziłem im srodze pięścią. Mój gest wywołał u nich kolejną falę posępnego rozbawienia, kilka istot próbowało go nawet mechanicznie naśladować górnymi zielonkawymi kończynami. Zawstydzony i skonsternowany, próbowałem na zimno oszacować sytuację.

Bądź co bądź znajdowałem się w lepszym niż Dwight położeniu. W przeciwieństwie do niego orientowałem się w sytuacji, a jak wiadomo, człowiek ostrzeżony przed niebezpieczeństwem łatwiej może się obronić. Miałem dowód, że wyjście mimo wszystko istniało, i nie powtórzę jego tragicznego gestu rozpacz. Ciało, raczej szkielet, gdyż niewiele zeń już zostało, wciąż miałem przed sobą, w charakterze przewodnika poszukiwanego wyjścia, i nieugięta cierpliwość z pewnością pozwoli mi je odnaleźć, jeśli tylko będę działał rozumnie i dostatecznie długo.

Przeszkadzała mi, rzecz jasna, obecność tych gadopodobnych diabłów. Teraz, gdy uświadomiłem sobie naturę pułapki, której niewidzialny budulec wykraczał poza możliwości naukowe i technologiczne znane ludzkości na Ziemi - nie mogłem wątpić w uzdolnienia umysłowe i architektoniczne moich wrogów. Nawet mając do dyspozycji miotacz ognia, musiałem liczyć się dużymi problemami podczas ucieczki, aczkolwiek odwaga i szybkość na dłuższą metę powinny pozwolić mi dopiąć swego. Najpierw jednak muszę wydostać się na zewnątrz - chyba że uda mi się zwabić lub sprowokować kilka z tych istot, by się do mnie zbliżyły. Z bronią gotową do strzału, z całkiem sporym zapasem amunicji, przyszło mi na myśl, by sprawdzić efekt działania ładunków na niewidzialnej ścianie. Czy przecież tak banalny w swej prostocie sposób ucieczki? Nie znałem składu chemicznego przeczczystej bariery, lecznik mogłem wykluczyć, że płomień z mojego pistoletu przepali ją jak nóż kawałek sera. Wymierzywszy w ścianę w pobliżu trupa, wypaliłem, a potem sprawdziłem to miejsce nożem. Nic się nie zmieniło. Widziałem, jak ogień się rozchodzi, uderzając w niewidoczną przegrodę, a teraz uświadomiłem sobie płonność mych nadziei. Jedynie długie, żmudne poszukiwania pozwolą mi wydostać się na zewnątrz. Łyknąłem kolejną tabletkę żywnościową i włożywszy do elektrolizera maski jeszcze jedną kostkę, podjąłem moją wędrówkę. Wróciłem do centralnego pomieszczenia i zacząłem od nowa.

Bez przerwy sprawdzałem notatki i szkice, sporządzając następne. Trafiałem do jednego ślepego korytarza za drugim, lecz w przypiływie desperacji nie zaprzestałem mych poszukiwań aż do zmierzchu. Podczas poszukiwań raz po raz zerkałem na milczący krąg drwiących i przyglądających mi się obcych obserwatorów, by stwierdzić, że ich liczba co pewien czas się zmieniała. Niektórzy wracali do lasu, a na ich miejsce przybywali następni. Im dłużej zastanawiałem się nad ich taktyką, tym większą czułem do nich niechęć, gdyż zacząłem pojmować potencjalne motywy, które nimi kierowały. Stworzenia te w każdej chwili mogły podejść i podjąć ze mną walkę, lecz wolały najwyraźniej obserwować moje desperackie próby ucieczki. Podejrzewałem, że przypadło im to do gustu, a tym samym perspektywa dostania się w ich łapy wydawała mi się coraz mniej kusząca.

O zmroku zaprzestałem poszukiwań i usiadłem w błocie, by odpocząć. Teraz piszę te notatki w świetle mojej lampy i niebawem spróbuję choć trochę się przespać. Mam nadzieję wydostać się stąd nazajutrz, zostało mi już bowiem niewiele wody, a tabletki lacołu są jej marnym substytutem. Nie odważyłbym się pić tego mętnego błočka, a wszelka woda na tej planecie nie nadaje się do picia, chyba że zostanie poddana oczyszczeniu. Oto, dlaczego przeciągnęliśmy rurociąg do obszarów występowania żółtej gliny lub korzystamy z deszczówki, gdy te łuskowate diabły odnajdują i przecinają nasze rury. Zaczyna mi już także brakować kostek chloralu, muszę ograniczyć możliwie jak najbardziej zużycie tlenu. Próba zrobienia podkopu wczesnym popołudniem i późniejszy wywołany paniką bieg wzdłuż niewidocznych korytarzy kosztował mnie sporo tlenu. Jutro ograniczę do minimum wysiłek fizyczny, zachowując rezerwy na spotkanie i ewentualną rozprawę z jaszczuroludami. Potrzebuję sporego zapasu kostek na drogę powrotną do Terra Novy. Moi wrogowie wciąż są w pobliżu - widzę dokoła krąg ich migotliwych pochodni. W światełkach tych jest coś upiornego, coś, co nie pozwala mi zasnąć.

## NOC 14 VI

Kolejny dzień poszukiwań i wciąż nic! Nie znalazłem wyjścia, zaczynam się martwić o wodę, gdyż moją manierkę opróżniłem do cna w południe. Później padał deszcz i wróciłem do pomieszczenia centralnego po hełm, który pozostawiłem jako znacznik. Teraz używając go jako miski, zebrałem trochę deszczówki. Większość już wypilem, resztę zaś przelałem do manierki. Tabletki lacołu na pewien czas pozwolą mi ugasić pragnienie i mam nadzieję, że w nocy znów będzie padać. Zostawiłem mój hełm odwrócony, by nałapać wody. Tabletek żywnościowych również zaczyna mi brakować, ale na razie jeszcze się nie martwię. Od tej pory zmniejszam swoje racje o połowę. Kostki chloranu - to niepokoi mnie najbardziej, gdyż nawet bez nadmiernego wysiłku sporo ich zużyłem, przez cały dzień

włączając się po labiryncie. Czuję się słaby, skutek niedotlenienia i wciąż męczącego mnie pragnienia. Mniejsza ilość pożywienia sprawi zapewne, że osłabnę jeszcze bardziej.

W tym labiryncie jest coś odrażającego, coś niesamowitego. Mógłbym przysiąc, że dzięki zapisom wyeliminowałem pewne pasáže i skręty, a jednak z każdą nową próbą moje odkrycie zadaje kłam informacjom zawartym w notatkach i szkicach. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak jesteśmy zagubieni bez punktów orientacyjnych. Ślepiec poradziłby sobie lepiej, lecz dla większości z nas wzrok jest najbardziej wyczulonym ze zmysłów. Efektem tych bezowocnych wędrówek jest jedno wielkie rozczarowanie i zniechęcenie. Teraz już rozumiem, jak musiał czuć się biedny Dwight. Jego trup to już jedynie szkielet, a sificlighy, akmany i muchy farnoth odeszły. Pnącza efjeh rozdzierały na strzępy skórzane odzienie, były bowiem dłuższe i rosły szybciej, niż się spodziewałem. Przez cały czas ta gromada oślizgłych obserwatorów stoi wokół niewidzialnej bariery, śmiejąc się ze mnie i szydząc z mej niedoli. Jeszcze jeden dzień i oszaleję, chyba że wcześniej padnę trupem z wycieńczenia.

Muszę jednak dalej robić swoje. Dwight wy dostałby się z tej pułapki, gdyby wytrzymał choć minutę dłużej. Całkiem możliwe, że ktoś z Terra Novy zjawi się tu wkrótce, poszukując mnie, choć poza bazą przebywam zaledwie od trzech dni. Mięśnie potwornie mnie boją, a leżąc w tym ohydny błočku, w ogóle nie odpoczywam. Zeszłej nocy pomimo potwornego zmęczenia spałem krótko i obawiam się, że i tej nocy nie będzie lepiej. Żyję w niemającym końca koszmarze - uwięziony między jawą a snem, a mimo to nie śpiam naprawdę ani się naprawdę nie budzę. Przez pewien czas nie będę w stanie nic napisać, trzęsą mi się bowiem ręce. Ten krąg migotliwego światła tunopochodni jest odrażający.

## **PÓŹNE POPOŁUDNIE 15 VI**

Znaczny postęp! Wygląda całkiem nieźle. Jestem bardzo słaby i nie spałem do brzasku. Potem zdrzemnąłem się do południa, lecz wcale nie wypocząłem. Nie padało, brak wody i związane z tym pragnienie mocno mnie osłabia. Zjadłem dodatkową tabletkę, by jakoś funkcjonować, lecz bez wody niewiele to dało. Raz. odważyłem się nawet wypić odrobinę tej błotnistej cieczy, ale od razu miałem mdłości i poczułem jeszcze większe pragnienie niż dotychczas. Muszę oszczędzać kostki chloralu, bo prawie się już duszę z braku tlenu. Nie mogę chodzić, czołgam się tylko w mule i błocie. Około drugiej po południu odniosłem wrażenie, że rozpoznaję niektóre korytarze i zbliżyłem się znacznie do trupa - czy raczej - szkieletu - dużo bardziej niż podczas wcześniejszych prób, w dniach poprzednich. Raz zbłądziłem w ślepą uliczkę, ale wróciłem na właściwy trop, posługując się szkicami i notatkami. Jest ich tak wiele, że chwilami się gubię. Zajmują dobre trzy stopy zwoju zapisowego i by go rozwinąć, muszę robić długie, zgoła niepożądane przerwy. Jestem strasznie osłabiony wskutek pragnienia, niedotlenienia i wyczerpania, zapewne dlatego nie potrafię pojąć sensu moich ospiesznie sporządzanych notatek. Te przekłete zielone stwory wciąż patrzą na mnie i śmieją się, wywijając mackami, a niekiedy gestykują nimi w taki sposób, jakby opowiadały sobie jakiś upiorny żart, którego nie jestem w stanie pojąć.

O trzeciej przeżyłem prawdziwy przełom. Natrafiłem na przejście, którego, zgodnie z tym, co miałem w notatkach, wcześniej nie spenetrowałem, a kiedy podjąłem próbę, stwierdziłem, że tą drogą mogę dotrzeć ku oplecionemu pnączami kościotrupowi. Pełzłem po spirali, jak wtedy gdy po raz pierwszy znalazłem się w pomieszczeniu centralnym. Docierając do poprzecznego korytarza lub rozgałęzienia dróg, starałem się wybierać kurs najbliższy temu z mojej pierwszej wędrówki. Gdy okrążyłem coraz ciaśniej i ściślej mój upiorny drogowskaz, obserwatorzy na zewnątrz zareagowali wzmożeniem intensywności tajemniczych gestów i sardonicznego, cichego śmiechu. Najwyraźniej w moich postępkach było coś, co wydało się im zabawne, prawdopodobnie Wyobrażali sobie, że wydostawszy się z labiryntu, wycieńczony i bezradny, zdany będę w zupełności na ich łaskę i niełaskę. Pozwoliłem im, by radowali się swą pozorną przewagą, bo świadom mego obecnego stanu fizycznego, mogłem po wyjściu stąd liczyć wyłącznie na mój pistolet i sporą ilość zapasowych magazynków, by przebić się przez kordon plugawych jaszczuroludów. Odzyskałem nadzieję, lecz nie próbowałem się podnosić. Teraz wołałem pełzać i oszczędzać siły na zbliżającą się konfrontację z jaszczuroludami. Posuwałem się naprzód bardzo wolno, a niebezpieczeństwo zabrnięcia w ślepą uliczkę było całkiem spore, niemniej wszystko wskazywało, że zdążam nieuchronnie ku memu kościstemu, posępnemu celowi. Ta myśl dodała mi sił i na chwilę przestałem przejmować się bólem, pragnieniem i coraz szczuplejszym zapasem kostek chloralu. Istoty zgromadziły tłum wokół wejścia, gestykując, podskakując i wykonując mackami ruchy świadczące o rozbawieniu. Zdawałem sobie sprawę, że już wkrótce przyjdzie mi stawić czoło całej ich hordzie i być może również posiłkom przybyłym z lasu.

Od szkieletu dzieli mnie już tylko kilka jardów, robię następną przerwę, by nanieść ten zapis, zanim wy dostanę się z labiryntu i podejmę walkę z jaszczuroludami. Mimo miażdżącej przewagi liczebnej jestem w stanie zmusić je do ucieczki, gdyż mój pistolet ma ogromny zasięg. Potem odpocznę na mchu, na skraju płaskowyżu, a rankiem czeka mnie forsowny marsz do Terra Novy. Będę rad, jeśli znów ujrzę żywych ludzi i wzniesione przez nich budowle. Zęby tej czaszki błyszczą i szczerzą się upiornie.

## **PRZED NOCĄ 15 VI**

Koszmar i rozpacz. Znów zbłądziłem! Po sporządzeniu ostatniego zapisu zbliżyłem się do szkieletu jeszcze bardziej, lecz nagle napotkałem na swej drodze niewidzialną ścianę. Ponownie dałem się zwieść i najwyraźniej wróciłem do miejsca, gdzie byłem przed trzema dniami, podczas mej pierwszej, bezowocnej próby opuszczenia labiryntu. To niemożliwe, bym krzyczał w głos. Byłem chyba zbyt słaby, by wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Leżałem długo w błocie, kompletnie oszołomiony, podczas gdy zielonkawe istoty na zewnątrz podskakiwały, śmiały się i wywijają mackami.

Jakiś czas później odzyskałem pełną świadomość. Pragnienie, osłabienie i niedotlenienie dawały mi się nielicho we znaki, resztką sił włożyłem do elektrolizera nową kostkę. Postąpiłem nierozważnie, nie bacząc na konieczność zachowani a rezerwy na podróż do Terra Novy. Świeży tlen trochę mnie ożywił i czujniej rozejrzałem się wokół.

Znalazłem się chyba nieco dalej od nieszczęsnego Dwighta niż podczas mojej pierwszej bezowocnej próby i zacząłem ufać, że jakimś zrządzeniem losu trafiłem do innego, odrobinę bardziej odległego korytarza. Z tą tłącą się w mym sercu iskierką nadziei ruszyłem z trudem naprzód, lecz kilka stóp dalej, tak jak poprzednio napotkałem niewidzialną ścianę. I to już w zasadzie był koniec. Po trzech dniach nigdzie nie dotarłem i opadłem z sił. Niebawem wskutek męczącego pragnienia popadnę w obłęd i być może nie wystarczy mi kostek na powrót do bazy. Prawdopodobnie dlatego tak ze mnie drwiły i szydziły - pozwoliły mi sądzić, że zbliżam się do wyjścia, które nie istniało.

To już nie potrwa długo, choć nie zamierzam jak Dwight przyspieszać chwili rozstania się z życiem. Jego wyszczerzona czaszka odwróciła się właśnie w moją stronę, poruszona wędrującym pnączem rośliny efjeh, która pożera jego skórzany kombinezon. To potworne spojrzenie pustych, ziejących oczodołów jest gorsze niż ślepia gapiących się na mnie jaszczuroludów. Nadaje upiornego znaczenia temu martwemu uśmiechowi wyszczerzonych, białych zębów.

Będę leżał w błocie nieruchomo i oszczędzał siły możliwie jak najdłużej. Ten zapis, który, mam nadzieję, dostanie się jako Strzeżenie w czyjeś ręce, wkrótce skończę. Gdy przestanę pisać, de długo odpoczywał. A kiedy zrobi się wystarczająco ciemno, te przerażające stworzenia nie widziały, co robię, spróbuję zebrać w sobie resztki sił i przerzucić zwój ponad ścianą i sąsiednim korytarzem na równinę za nimi. Postaram się cisnąć go jak najbardziej w lewo, by nie trafić żadnego z tej podskakującej gromady łuskokórych, drwiących ze mnie potworów. Może przypadnie na zawsze w błocie, a może wyląduje na kępie chwastów i trafi w ręce ludzi. Jeśli przetrwa i zostanie przeczytany, noże uczynić znacznie więcej niż tylko przestrzec ludzi przed tą pułapką. Mam nadzieję, że zdoła nauczyć naszą rasę, by pozostawiła te lśniące kryształy tam, gdzie się znajdują. One są własnością Wenus. Nasza planeta wcale ich nie potrzebuje i jestem przekonany, że usiłując je zdobyć, pogwałciliśmy jakieś nieznanne i tajemnicze prawo, pradawne prawo zagubione gdzieś hen w otchłani kosmosu. Któż wie, jakie mroczne, rozległe i niezmierzone potęgi nakłaniają do działania te jaszczuroludy, które tak osobliwie strzegą swego skarbu? Dwight i ja zapłaciliśmy cenę za pazerność, podobnie jak inni przed nami i wielu, którzy przyjdą po nas. Te pojedyncze śmierci mogą być jednak tylko małym preludium do przeraźliwego i pośepnego koszmaru. Pozostawmy Wenus to, co należy wyłącznie do niej.

Jestem bliski śmierci i obawiam się, że kiedy nadejdzie zmierzch, nie zdołam przerzucić zwoju ponad ścianą. Jeśli tego nie uczynię, zwój może dostać się w łapy jaszczuroludów. Nie będą chciały, by ktokolwiek został ostrzeżony przed zagrożeniem; labiryntu, i nie dowiedzą się, że moje przesłanie jest także próbą zapewnienia im spokoju. W miarę jak zbliża się koniec, czuję do nich coraz większą sympatię. W skali kosmicznej któż jest w stanie stwierdzić, który gatunek stoi wyżej czy choćby zbliża się i hipotetycznej normy przeznaczonych we wszechświecie dla istot rozumnych - ich czy może mój?

Wyjąłem z kieszeni wielki kryształ, by nacieszyć nim ócz w mych ostatnich chwilach. W czerwonym blasku dogorywającego dnia kryształ błyszczący ogniciście i groźnie zarazem. Podskakująca horda dostrzegła to, a ich gesty zmieniły się w sposób, którego nie pojmuję. Zastanawiam się, dlaczego zgromadziły się tłumnie wokół wejścia, miast stanąć bliżej przy przezroczystym murze. Ogarnia mnie odrętwienie i nie jestem już w stanie dłużej pisać. Wszystko wokół wiruje, lecz nie tracę świadomości. Czy uda mi się to przerzucić przez mur? Kryształ wciąż silnie błyszczący, lecz nieuchronnie nadchodzi zmierzch.

Mrok. Jestem bardzo słaby. One wciąż się śmieją i podskakują przy wejściu. Zapaliły te okropne łunopochodnie.

Odchodzę? Śniło mi się, że słyszałem jakiś dźwięk... ujrzałem światło na niebie...

#### **RAPORT WESLEYA P. MILLERA ZW. GR. A. KOMPANIA „KRYSZTAŁ”**

*Nasz pracownik operacyjny A-49, Kenton J. Stanfield, zam. w Richmond, Va przy Marshall Street 5B17, opuścił bazę Terra Nova 12 VI na krótki wypad do obszaru wskazanego przez detektor kryształów. Miał wrócić 13 lub 14. Nie pojawił się do wieczora 15 VI, toteż o ósmej wieczorem wyruszył tą drogą samolot zwiadowczy Fr-58 ze mną i pięcioma podkomendnymi na pokładzie. Igła nie wykazywała zmian w stosunku do wcześniejszych odczytów.*

*Podążyliśmy za wskazaniem detektora na wyżynę Eryksu. przez cały czas przepatrując teren poniżej za pomocą silnego reflektora. Broń ogniowa o potrójnym zasięgu i cylindry D-radiacyjne były w stanie zmusić do odwrotu największą nawet grupę wrogich zazwyczaj tubylców czy stado drapieżnych skorahów.*

*Znalazłszy się nad rozległą wyżyną Eryksu, ujrzeliśmy poruszające się światła. Najprawdopodobniej były to łunopochodnie, których używają tubylcy. Gdy się zbliżyliśmy, istoty czym prędzej pierzchły do lasu. Było ich około 75 do 100. Detektor wskazał obecność kryształu w miejscu, wokół którego się gromadziły. Opuściwszy nisko maszynę, w świetle naszych reflektorów ujrzeliśmy to, co znajdowało się na ziemi. Był to szkielet omotany pnączami efjeh i oddalony o dziesięć stóp od niego martwy mężczyzna. Zeszliśmy jeszcze niżej, by wylądować obok ciała, gdy róg skrzydła maszyny uderzył w jakąś niewidoczną przeszkodę. Podchodząc do ciała, zatrzymaliśmy się, napotkawszy nagle gładką, niewidzialną barierę, która bardzo nas wszystkich zaskoczyła. Wkrótce potem odnaleźliśmy otwór, za którym znajdował się korytarz, z kolejnym otworem prowadzącym do kościołupa. Ten ostatni, choć odarty z odzienia przez żarłoczne rośliny, miał obok siebie jeden z metalowych, numerowanych*

helmów kompanii. Był to pracownik operacyjny B-9, Frederick N. Dwight z wydziału Koeniga, który opuścił Terra Novę na dwa miesiące w celu wykonania specjalnej misji.

Między szkieletem a świeżym trupem zdawała się istnieć inna ściana, bez trudu jednak zidentyfikowaliśmy tego mężczyznę jako Stanfielda.

W lewym ręku trzymał zwój zapisowy, a w prawej pióro i najwyraźniej korzystał z nich aż do śmierci. Nie zauważyliśmy kryształu, lecz detektor wskazywał obecność olbrzymiego okazu przy ciele Stanfielda.

Mieliśmy sporo trudności z dotarciem do niego. Ciało wciąż było ciepłe, a obok w błocie leżał wielki kryształ. Natychmiast przestudiowaliśmy treść zwoju, który trzymał w dłoni, i na tej podstawie podjęliśmy pewne kroki. Zawartość raportu, którego zasadniczą część zweryfikowaliśmy, a który stanowi wstęp niniejszego zapisu, zdaje się tłumaczyć to, co tam odnaleźliśmy. Ostatnie fragmenty najwyraźniej świadczą o postępującym obłędzie, lecz nie ma podstawy, by wątpić w ich główny sens. Stanfield zmarł ewidentnie wskutek pragnienia, niedotlenienia, wycieńczenia i depresji psychicznej. Maskę miał wciąż na twarzy a przetwornik tlenu działał na pełną moc, pomimo iż Stanfieldowi nie zostało już wiele kostek do aparatu. Nasz samolot został, uszkodzony, wysłaliśmy meldunek i wezwaliśmy Andersena z samolotem naprawczym FG-Ż, grupą minerów i sporą ilością ładunków wybuchowych. Nim nadszedł świt, FH-58 był już naprawiony i pod dowództwem Andersona wracaliśmy do bazy, wraz z dwoma trupami i kryształem. Pogrzebiemy Dwighta i Stanfielda na cmentarzu Kompanii, kryształ zaś wyślemy do Chicago na pokładzie najbliższego lecącego na Ziemię frachtowca. Później postąpimy zgodnie z sugestią Stanfielda - zawartą w początkowej, logicznej części raportu - i sprowadzimy tu dość wojska, by wyrząść w pień tych przebrzydłych tubylców. Oczyściwszy teren, będziemy mogli zebrać tyle kryształów, ile tylko się da.

Po południu z wielką uwagą przyjrzelśmy się niewidzialnej budowli czy - raczej należałoby rzec - pułapce, zbadaliśmy ją, posługując się długimi linami zabezpieczającymi, i sporządziliśmy dokładny schemat z przeznaczeniem do akt. Wzór ten wywarł na nas ogromne wrażenie. Próbkę nieznaną substancji zachowamy, by poddać je analizie chemicznej. Cała ta wiedza z pewnością okaże się użyteczna, kiedy już zajmiemy miasta tubylców. Nasze diamentowe wiertła typu C zdołały wywiercić otwory w niewidzialnym materiale, a nasi minery zakładają w nich teraz ładunki dynamitu, by obrócić całą tę budowę w perzynę. Kiedy skończymy, nie pozostanie po niej zupełnie nic. Taka budowla stanowi ogromne zagrożenie dla ruchu naziemnego i powietrznego.

Jeżeli chodzi o plan labiryntu, jeden fakt zakrawa na ironię, zarówno w przypadku fatalnego losu Dwighta, jak i Stanfielda. Próbując dotrzeć od szkieletu do drugiego trupa, nie zdołaliśmy odnaleźć wejścia po prawej, lecz Markheim natrafił na inne, prowadzące z pierwszego pomieszczenia wewnętrznego oddalonego o jakieś piętnaście stóp od Dwighta i cztery czy pięć od Stanfielda. Za nim rozciągał się długi korytarz, który spenetrowaliśmy dopiero potem, lecz po prawej jego stronie znajdowało się jeszcze jedno wejście wiodące bezpośrednio do trupa. Stanfield mógłby dotrzeć do wyjścia na zewnątrz, pokonawszy nie więcej niż odległość dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech stóp, gdyby tylko natrafił na przejście, znajdujące się dokładnie z tyłu, za jego plecami, otwór, który, wyczerpany i ogarnięty rozpaczą, zwyczajnie przeoczył.

**Autor:** Howard Phillips Lovecraft

---

[Początek]